

JÓZEF BARAN

PRZYSTANEK MARZENIE (18)

(FRAGMENTY)



Jestem już zniecierpliwiony czekaniem na autobus. Jak zwykle nie sprawdziłem wcześniej rozkładu jazdy, a teraz zostałem za to ukarany nudą czekania. Przejrzałem już gazetę, z której wynika, że choć tu, w tym sennym miasteczku, pozornie nic się nie dzieje, to dookoła, w Polsce, w Europie, w świecie – wre od wydarzeń. Ziemia nie stoi w miejscu, wciąż kręci się dookoła siebie...

Zacząłem oglądać kolorowe fotografie z wyprawy na Dolny Śląsk, gdzie przez dwa ostatnie dni z moimi przyjaciółmi: poetą i inżynierem przebywaliśmy wśród stawków i lasów, w miejscu cudami słynącym i w stronach bliskich sercu, bo przed trzydziestu laty chodziłem tam do szkoły średniej. Powiedzmy, że były to zdjęcia z małej podróży sentymentalnej, jaką człowiek odbywa parę razy w życiu. Zauważyłem, że dziewczyna przychyliła się ku nim z zainteresowaniem.

– Ładne – powiedziała do siebie. – Śliczne – zawtórowała sama sobie z nutką rozmarzenia. – Musi pan dużo podróżować, ja też chciałabym... Spojrzałem na nią z rozbawieniem, ale wszystko wydało mi się jeszcze normalne. Ot, dobry żart tyńfa wart.

Podjąłem rozmowę, zacząłem się z nią przekomarzać. Zapytałem, gdzie była najdalej. Ku mojemu zdziwieniu odpowiedziała, że... w Porąbce, czyli miejscowości oddalonej od miasteczka o 20 kilometrów. Daję słowo, zamurowało mnie, bo brałem ją za dziewczynę z dużego miasta, myślałem, że znalazła się tu przejazdem, tak jak ja... W Porąbce? A może sobie kpi ze mnie. Przypomniał mi się mój przyjaciel – sławny malarz o europejskiej renomie Jurek Panek – który na przyjęciach u światowców, przechwalających się swoimi nowymi podróżami, lubił mawiać, że najdalej był w Bieżanowie (dzielnicy Krakowa). Czynnikiem to z czystej przekory, bo nie znosił snobów.

Ale dziewczyna ani myślała ironizować. Zapytałem, dokąd jedzie. Dowiedziałem się, że donikąd. Po prostu lubi sobie posiedzieć na ławeczce i pomarzyć, że gdzieś się wybiera.

– Bo u nas rozmawia się tylko o serialach, autach i biznesie. Wszyscy wszystkich znają,

zaglądają sobie nawzajem do okien.

A ona w takie niedzielne popołudnia chętnie przygląda się autobusom: czerwonym i niebieskim. Tym podmiejskim i tym dalekobieżnym, wiozącym pasażerów do dużych nieznanymi miast, gdzie można się zgubić w tłumie przechodniów.

Coś mnie podkuśliło i powiedziałem dziewczynie z pszenicznymi warkoczami, że jestem poetą i dziennikarzem, co wiecie cygański żywot: dziś tu, jutro tam. Ostatnio byłem przez parę miesięcy w Azji, w Singapurze. Wiedziałem, że zrobię jej tym przyjemność, bo prawdopodobnie czekała na coś nadzwyczajnego. Ni stąd, ni zowąd zachciało mi się, żeby uwierzyła, iż to ja właśnie jestem jej dzisiejszą nadzwyczajną przygodą. Daję słowo, czyniłem to z bezinteresownym rozmysłem. Była w siódmym niebie...

Zadawała krótkie pytania i odpowiadała krótko, jakby dłuższe odpowiedzi sprawiały jej kłopot. Zauważyłem też, że ma kłopoty z koncentracją i wybucha w nieoczekiwanych momentach śmiechem.

– Z czego się pani śmieje?

– Bo ten kierowca w autobusie tak dziwnie zamknął drzwi. Za chwilę dodała, że gdy widzi czerwony podmiejski autobus, to „nóż się jej w kieszeni otwiera”.

– Dlaczego? – spytałem z poważną miną, nie chcąc dać dziewczynie do zrozumienia, że domyślam się tego, co ona pragnie za wszelką cenę zataić.

– Czy pan zwrócił uwagę, jak te czerwone światła oślepiają?

Potem mówiła rozsądnie. Nad miasteczkiem kołował zmierzch jak duży wielki ptak... Gdy zapadało między nami milczenie, czułem się zakłopotany sytuacją, tym bardziej że do odjazdu mojego autobusu było jeszcze z pół godziny.

Opowiadała mi o swoim domu rodzinnym na skraju miasteczka pośród lasów. Miała czwórkę rodzeństwa łącznie z siostrą bliźniaczką, ludzako do niej podobną i studiującą historię w Krakowie. Opowiadała mi o swoim obsesyjnym śnie. Waży w nim strawę i boi się, że wrzątek zaleje całe mieszkanie.

Następnie przeskoczyła bez związku – jak mi się wydało – do mieszkańców miasteczka, nadających raz na zawsze przydomek, od którego nie sposób się już do końca życia odlepić. Nagle zahętała się i zapadło milczenie. Przemknęło mi przez głowę, żeby zapytać, jaki ma przydomek, ale ugryzłem się w język.

Tym razem zapytała rzeczowo:

– A co pan sądzi o M jak miłość?

Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że nie oglądam seriali.

– Mnie też się, proszę pana, nie podobają, ale wszyscy ludzie tylko mówią o M jak miłość, a dawniej o Dynastii. Co oni w tym widzą? Oglądają te odcinki tak samo jak kryminały...

Zaraz potem, ni przypiął, ni przyłatał:

– Pan jest przynajmniej schludny i umytny...

Uznałem to za dowcip i roześmiałem się. Ona także.

W oddali majaczyły się już w parku światła lamp. Wieczór był – jak to się mawia przy takich okazjach – nierealny, podobnie jak cała sytuacja. Szczercze i trochę infantylnie wyznała

mi, że kiedyś pojawiali się w jej domu mężczyźni, ale wszyscy „brudni” i wszyscy chcieli się żenić. Powtarzalność rozmów z nimi nudziła. Mówili tylko o budowaniu domów, pieniądzach i interesach. Na szczęście teraz do niej nie przychodzą. Więc czasem wyrwa się z domu, żeby posiedzieć tu na ławce. Od czasu do czasu próbuje z kimś nawiązać rozmowę. Jeśli są to mężczyźni, już po jakiejś chwili stwierdzają, że są żonaci i żeby dała im spokój.

– A pan taki spokojny, pan się w ogóle nie denerwuje.

– No tak dobrze nie jest, czasami się złoścuję.

– Czasami życie jest strasznie nudne – zawyrokowała. – Ale dzisiaj była ładna pogoda. A jak słońce świeci, to ja jestem wesoła. Najgorzej zimą i jesienią. Robię wtedy na drutach swetry albo czytam książki z biblioteki. Podobają mi się romanse, kryminały nie cierpię. Czy był pan kiedyś „Pod Jaszczurami” – znowu zmieniła temat.

– Pewnie, ale dlaczego pani pyta?

– Bo byłem tam raz – przyznała się skwapliwie. – Na juwenaliach. Studenci przebierali się za cudaków. Ja również się przebrałam, tak że nikt mnie nie poznał. Wyobraża pan sobie? – nikt nie wiedział, że to jestem ja. Czułam się szczęśliwa...

– No proszę... Okazuje się, że jednak była pani w Krakowie...

Pogroziłem jej z rozbawieniem palcem.

– Tak, tak, byłem tam raz w Krakowie – uśmiechnęła się jak dziecko przyłapanie na mówieniu nieprawdy i znów zapadło na ławeczce parominutowe milczenie, które tym razem ja przerwałem:

– Czy nie boi się pani wracać do domu przez las? Ściemnia się, więc nie będę miał pretensji, gdy pozostanę sam na ławce, choć dobrze mi się z panią rozmawia.

– Mnie też. Bardzo się cieszę, że pana poznałam. A czasu mam dużo. Najwyżej nie pojadę autobusem, tylko pójdę na piechotę.

– Hmm – udałem współczucie – ale iść przez las w taki wieczór niebezpiecznie. W lesie są może wilki...

– Tak, czytałam o tym w bajkach, ale proszę pana, ja się bardziej od wilków boję ludzi... Autobus tym razem podjechał punktualnie na stanowisko i uciał rozmowę.

Machała mi ręką na pożegnanie, jakbyśmy się znali od wielu lat.

Każdy ma swój przystanek Marzenie – pomyślałem, gdy rozplywała się w szybie...

Jeszcze jeden przystanek z marzeniami... Bo właściwie to przystanek z miasteczka B. przywiódł mi natychmiast przed oczy inny przystanek z marzeniami...

...Mam 16, 17 lat... Obojętnie ile, w każdym razie jestem bardzo młody i jak zwykle wakacje spędzam w rodzinnej wsi, gdzie bywam zapędzany do różnych polowych prac i gdzie broniąc się przed monotonią, odbiegam myślami daleko od tego, co robię, dlatego moja mama ma ochotę rzucać we mnie motyką, a ojciec gdera, że mam dwie lewe ręce.

Bo rzeczywiście mam dwie lewe ręce.

cdn.